

# Kronika

## tygodniowa

Miał zatem kronikarz całomiesięczny urlop, którego się zupełnie nie spodziewał, a za który dziękuje serdecznie P. T. Strajkującym w imieniu swoim i swych kolegów po piórze i nożyczkach. Bezrobocie drukarskie właściwie trwa jeszcze w dalszym ciągu. Wydawnictwu „Nowości Ilustrowanych” udało się jednak szczęśliwie puścić w ruch maszynę, aby zadość uczynić żądaniom swych Czytelników, którym brakło zwykłej tygodniowej rozrywki, jaką stanowi dla nich nasze pismo. Zasypano nas też listami z zapytaniem, kiedy nareszcie ten strajk się ukończy. Z komunikatów bowiem, ogłaszanych przez obie wojujące strony t. j. właścicieli drukarni i ich pracowników, można było wnosić, że potrwa on długo. Jedni i drudzy oświadczają, że mają jak najlepsze chęci i jedni zwalają winę na drugich, a jakoś nie można znaleźć budowniczego, który podjąłby się skonstruowania złotego mostu, wiodącego do zgody.

Z pism codziennych w Krakowie wychodzi normalnie jedynie *Naprzód*, wszystkie inne wydają zbiorowemi siłami *Wiadomości Krakowskie*, które przy wspólnym stole redakcyjnym połączyły ze sobą *Czas i Reformę*, *Gońca* i *Kuryera*, *Głos Narodu* i *Nowy Dziennik*. Niema zatem złego, aby na dobre nie wyszło, okazuje się bowiem, że nasza bracia dziennikarska, zwalczająca się dotąd namiętnie, potrafili, jeśli tego zajdzie potrzeba, żyć ze sobą w przykładowej zgodzie.

Ucierpiała na tem wprowadzie agitacja przedwyborcza, gdyż trudno było we wspólnym organie zwalczać kandydatów przeciwnych stronnictw i trzeba się było ograniczyć jedynie do luźnych notatek o odbywających się tu i ówdzie zgromadzeniach przedwyborczych, na których jeden z kandydatów mówił, jak budować Ojczyznę, drugi z właściwym sobie artyzmem odmalował obecne położenie polityczne kraju, szkicując w zarysie, jaki to raj nastanie, gdy on chwyci mandat, trzeci znów zapowiadał, że „uszyje buty” wszystkim, inaczej niż on myślącym i t. d. i dalej każdy gadał dużo i szeroko, zadowolony z tego, że wywody jego nie spotykały się ze zwykłą w podobnych wypadkach krytyką przeciwnych obozów. Powiadają też sobie ludzie na ucho, że kandydaci na posłów sami starają się o to, aby bezrobocie drukarskie nie ukończyło się przed wyborami, nie mają bowiem ochoty dowiedzenia się, jak wyglądają w oświeceniu swych przeciwników politycznych. Wiadome to bowiem, że, jeśli ktoś chce dowiedzieć się jeszcze za swego życia, co o nim mówią jego współobywatele, powinien zgłosić swą kandydaturę, a niebawem pojawią się jego życiorysy, nieraz bardzo skrupulatnie i sumiennie zestawione, z szczególniejszem oczywiście uwzględnieniem stron ujemnych, gdyż politycznego przeciwnika chwalić nie wypada.

Jeden tylko *Naprzód*, jest w tem szczęśliwym położeniu, że nie potrzebuje się liczyć z innymi partiami i łamy swego pisma może poświęcić w całości obronie i wychwalaniu swej „dwójki” (taki numer nosi lista kandydacka socjalnej demokracji) i przestrzeganiu Czytelników, aby, broń Boże, nie poważyli się głosować na „ósemkę”. Z tego widać, że ta „ósemka” leży towarzysom na sercu i wątrobie i że w niej widzą swego najgroźniejszego wroga nie tylko w Krakowie, ale w całym wogóle kraju. Inne listy kandydackie krakowskie pomijane są milczeniem lub traktowane z uśmiechem politowania, a zarazem i współczuciem dla tych nieszczęśliwych kandydatów, którzy, nieraz sami nie wiedząc skąd, na nich się znaleźli. Zgłoszono w naszym mieście owych list coś z piętnością, oczywiście można brać w rachubę tylko nazwiska czolowe, choć i te są przeważnie dość niefortunnie dobrane. Kandydaci od trzeciego miejsca poczynawszy wstecz nie silą się też na agitację, wiedząc o tem, że znaleźli się tam jedynie dla jej ozdoby, do sali sejmowej dostać się zaś mogą jedynie chyba na galerię, choć nie jest wykluczone, że szczęście może im posłużyć i, dy zajmujący pierwsze miejsca przeniosą się

do wieczności lub zgłoszą rezygnację, mogą i oni zająć miejsca w ławach poselskich.

W każdym razie jest to przecie zaszczyt wielki, jeśli kto uznany został za godnego pomieszczenia na liście wyborczej, choćby nawet w jej ogonku, może się bowiem chwalić i przekazać to dzieciom i wnukom, że współobywatele obdarzyli go swem zaufaniem, choć ich o to nie prosił, ani nic nie fundował. Nie ulega kwestyi, że i taki pan ze samego końca listy kandydackiej, nie otrzymawszy mandatu, poczuje urazę do społeczeństwa i nie daruje mu nigdy, że nie poznało się na jego zasługach, których wprowadzie dotąd jeszcze nie położył, ale miał zawsze jak najlepsze chęci. Bardzo mądrzem jest wprowadzenie w życie tak zwanych list parawanowych, gdzie na pierwszym miejscu umieszcza się nazwisko poważnego kandydata, mogącego liczyć, że się głosy na niego posypią, a po wyborze zrezygnuje, robiąc w ten sposób miejsce swemu następcy, kryjącemu się za nim skromnie, niczem za parawanem.

Zakaz sprzedaży alkoholu w okresie przedwyborczym i ustanowienie pięciu „suchych dni” z rzędu nie wpłynęło bynajmniej na osłabienie akcji wyborczej, owszem podnieciło ją nawet, ten i ów bowiem mówca, nie mogąc ugasić swego pragnienia, rzuca tem bardziej siarczyste gromy na wszystkich przeciwników politycznych. Kandydaci, dbali o swoje interesy, nie zapomnieli zawczasu zaopatrzyć się w odpowiednią ilość „argumentów”, mających im zdobyć zaufanie wyborców, a na to nawet najwyższa władza nie poradzi, jeśli ktoś kogoś zechce ucztować w swem prywatnym mieszkaniu. Nie smakuje to wprowadzie tak, jak w knajpie, ale amatorów na podobny poczęstunek nie brakuje, zgłoszą się nawet tacy, którzy głosu zupełnie nie mają. Trzeba zatem tylko umieć szukać, a można nawet i w owe osławione „suche dni” znaleźć odpowiednio mokre przyjęcie. To jednak smutne, że zrywamy coraz bardziej z dawnymi tradycjami. O tak sławnej niegdyś w Galicyi „kielbasie wyborczej” prawie nic się nie słyszy, a winę tego przyjąć muszą na siebie w znacznej części panowie masarze, którzy jej ceny wyrubowali tak gwałtownie, że zwykła kielbasa stała się prawie niedostępną dla przeciętnego śmiertelnika, nie mówiąc już o wyborczej, ta bowiem musi być lekko strawna, zatem z lepszego materiału sporządzona *ergo* i droższa.

W agitacji przedwyborczej wzięła udział i to bardzo wybitny gmina miasta Krakowa, starając się za wszelką cenę osłodzić życie tak kandydatom na posłów, jak i wyborcom. Sprowadzano zatem należytą ilość cukru, który rozdzielono bez różnicy zapatrywań politycznych, choć z matadorów miejskich żaden nie kandyduje na seryo, pan prezydent Federowicz cofnął się z nad Wisły nad Peltew, dwaj inni członkowie prezydium odgrywają rolę fiołków kandydackich, ukrytych skromnie na końcach list, a jedynym kandydatem na seryo tego zespółu jest dr Bobrowski, który tak czy owak posiada bardzo silne poparcie swych towarzyszy partyjnych, więc do pomocy cukry uciekać się nie potrzebuje.

Ponieważ Magistrat przydzielił zapasy cukru przedewszystkiem urzędom, konsumom i innym podobnym instytucjom, a resztę sprzedawał we własnym zarządzie w kilku punktach miasta, zwykły śmiertelnik, nie będący ani urzędnikiem, ani członkiem żadnego konsumu, chcąc sobie osłodzić życie musiał stawać do „ogonka”. Były one bardzo poważne, zwłaszcza „ogonek ratuszowy” na Rynku, sięgający prawie aż do linii A-B i to w dwu szeregach. Z licznych gromadzenia się publiczności korzystali agitatorzy przedwyborczy, zachwalając swych kandydatów. Zwolennicy „dwójki” zapewniali zebranych, że te ziemskie słodczyce mają do zawdzięczenia jedynie drowi Bobrowskiemu, który jest jenerałem od miejskiej aprowizacji i wzywali, aby wobec tego wszyscy, którzy chcą mieć słodkie życie i na przyszłość, głosowali jedynie na listę Nr. 2, natomiast „ósemkarze” zapewniali, że ziemskie słodczyce są niczem w porównaniu z wiecznymi, a te staną się udziałem tylko tych, którzy oddadzą głos na listę Nr. 8.

Kronikarz, korzystając z wakacji przymusowych, z polecenia wyższej swej władzy domowej znalazł się także w „ogonku” i to aż dwa razy, dzięki czemu udało mu się zdobyć

dwa kilo cukru, którym osłodził życie swej rodzinie przynajmniej na jakie dwa tygodnie, ale nie powziął ostatecznego postanowienia, czy głos swój ma oddać na „dwójkę”, czy na „ósemkę”. Za „dwójką” przemawia przedewszystkiem to, że kandydaci z niej pochodzący, o ile nie mają jeszcze własnych kamienic zapowiedzieli otwarcie, iż do ostatniej kropli krwi walczą będą w przyszłym Sejmie w obronie lokatorów.

Krakowscy kupcy obrazili się na Magistrat i to nie na żarty, iż im cukru do sprzedaży nie przydzielono i zobowiązali się solidarnie nie oddać głosu ani jednemu „magistratnikowi”. Ponadto na znak żałoby pochowali resztki zapasów cukrowych, jakie posiadali i sprzedają je jedynie znajomym, oczywiście po cenach takich, jakie będą ustanowione na cukier, pochodzący z rozpoczynającej się obecnie kampanii.

W międzyczasie, gdy kronikarz z woli Opatrzności i p. p. drukarzy oddzielony był od P. T. Czytelników mieliśmy w Krakowie sporo różnych nowości, przedewszystkiem zaś pierwszy śnieg, mający służyć jako *memento*, iż nie należy zapominać o zaopatrzeniu się na zimę we węgle, zdaje się bowiem, że zapowiedziana już na grudzień i styczeń wiosna z powodów od Redakcyi nie zależnych nie dojdzie do skutku. A węgiel to dziś prawdziwy klejnot, musi się go też odpowiednio płacić. Urzędnicy, którzy w tym czasie otrzymali zaliczki w wysokości dwu lub trzymiesięcznej płacy znaleźli się w tem miłym położeniu, że o węglach mogli pomyśleć, kronikarz natomiast musi się pocieszać jedynie nadzieją, że zima będzie lekka, wobec tego szkoda wydawać pieniądze na węgle, aby sąsiedzi mieli czem palić.

Ta urzędnicza zaliczka wpłynęła także do datnio na obroty na rynku małżeńskim. Ponieważ żonaci urzędnicy otrzymać mieli ją w wysokości trzymiesięcznej płacy, a kawalerowie tylko dwumiesięcznej, ten i ów, choć nie miał nawet zamiaru, zgiał kark pod jarzmo małżeńskie, wobec czego w samym Krakowie liczba panien, skazanych na staropanieństwo, zmniejszyła się w tym czasie, jak to stwierdzają zapiski miejskiego Urzędu Statystycznego, o trzysta dwadzieścia siedm sztuk, co kiedyś o ile te zaliczki częściej się powtórzą, może doprowadzić wreszcie do liczebnego zrównania obu pici.

Ten wzmożony popyt na targu małżeńskim powitać należy z pełnem zadowoleniem i tutaj bowiem dają się odczuwać przykre następstwa światowej wojny. Ożenić się trudno, wyjść za mąż jeszcze trudniej. Dawniej kawalerowie polowali na posażne panny, a te przebierały między nimi, jak w ulegalkach, dziś stosunki zupełnie się zmieniły, dziewice łowią kandydatów do stanu małżeńskiego, a ci nauczyli się cenić swą wartość i byle czem nie chcą się zadowolić. Panna, nie rozporządzająca kilku milionami w gotówce, nie może liczyć na to, aby mogła stanąć przed ołtarzem choćby z kawalerem, który wdzięki swe uzupełnić musiał jakąś protezą.

Ostatnie dni przed wyborami spędził Kraków naprawdę sucho, choć bowiem chlapało błoto pod nogami, na odwilż gardła nie było czem, do rozporządzenia wojewódzkiego zastosowała się bowiem także i główna magistracka rura wodociągowa i pękła, pozbawiając mieszkańców bieleńskiego płynu. Socjaliści utrzymywali, iż powodem owego pęknięcia była niecna agitacja „ósemki”, jej zaś zwolennicy spychali całą winę na stronnictwa lewicowe, których gospodarki nie mogą znieść nawet tak spokojne z natury stworzenia, jak rury magistrackie. Z tego skorzystał komitet, popierający kandydaturę mistrza szydła, Surówki, oraz mistrza pędzla, prof. Wodzinowskiego, ogłaszając *urbi et orbi*, że kto chce, abyśmy mieli „Ojczyznę Mickiewiczowską”, w którejby rury nie pękały, powinien oddać swój głos tylko kandydatom z tej listy.

Z okazji Dnia Zadusznego widzieliśmy na cmentarzu rakowieckim kilku kandydatów na posłów, którzy przybyli tutaj, aby się polecić pamięci P. T. Wyborców, nie jest bowiem wykluczone, że w decydującej chwili wezmą udział w akacji wyborczej i mieszkańcy rakowieckiego ogrodu, by ratować zagrożone mandaty.

Dokładne sprawozdanie z przebiegu ostatnich dni przed wyborami odłożyć musimy do następnego numeru, w którym powitamy uroczystie zdobywców zaufania współobywateli.